



Niemożliwe staje się możliwe czyli przygoda z Bacharachem

stko wskazuje na to, iż z końcem bieżącego roku Teatr Muzyczny w Gdyni opuści definitywnie ciasny, niemal dosłownie „trzeszczący w spojeniach” budynek przy ul. Bema i przenieść się do nowoczesnej siedziby na miarę swych dokonań i ambicji. Myślę wszakże, że pożegnanie ze „starą budą” nie będzie dla zespołu takie zupełnie łatwe i niejedną łza cichcem zakręci się w oku, ponieważ w tym niepokojącym teatrzyku z palarnią ledwo mieszcząca publiczność w czasie przerwy i labiryntem ciasnych korytarzy na zapleczu, dokonywały się w przeszłości rzeczy ogromnie ciekawe, a niemożliwe uparcie stawało się możliwem...

Lat temu dziesięć polskie teatry muzyczne nie dysponowały na przykład bodaj zaledwie rodzimemu repertuarowi, przeto dyr. DANUTA BADUSZKOWA tak długo i tak usilnie począła namawiać kompozytorów i autorów do podjęcia ryzyka, aż wypuściła w świat całą serię prapremier. Trafiły się wśród nich utwory słabsze, a nawet wręcz chybione, ale znalazło się również wiele wartościowych pozycji, które — jak „Kaper królewski”, czy „Kariera Nikodema Dyzmy” — obległy potem wszystkie sceny krajowe, nie wyłączając łódzkiej.

Były kłopoty z kadrami, z narybkiem, zresztą powszechne dla całej Polski i też — sdałoby się — nie do przewyciężenia. Dyr. Baduszkowa założyła tedy przyteatralne studio, początkowo — jak to się ślicznie mówi — działające na „wariackich papierach”, właściwie bez budżetu i formalnych uprawnień, a dziś już okrzepłe, uznawane i cenione, z absolwentami rozchwytywanymi „od ręki” przez sceny muzyczne całego kraju, bo tylko najzdolniejszym ze zdolnych udaje się pozostać w gdynińskim teatrze.

Były kłopoty z publicznością, jednak teatr

zaskakiwał ją tak długo wciąż nowymi repertuarowymi i inscenizacyjnymi pomysłami umiejętnie przeplatając muzyczne nowości z operetkową klasyką — aż odwiedzanie ciasnej salki przy ul. Bema stało się dla mieszkańców Trójmiasta nieomal towarzyską powinnością. „Z wolnych miejsc są stojące pod ścianą i wieszane na żyrandolu” — zwykła mawiać z dumą kierowniczka widowni i jest to szczerza prawda, jako że bilety wyprzedane są na miesiąc, a nawet na dwa miesiące naprzód.

Ostatnio szczególnym powodzeniem cieszy się musical „Promises, promises” (czyli „Obiecanki, obiecanki”) Burtę Bacharacha, będący szczerzą przeróbką znanej nam z ekranów „Garsoniery”. Niezwykłość sprawy w tym, iż przez długie lata Hollywood nieustannie szukało pomysłów na Broadwayu, przenosząc na ekran cieszące się powodzeniem musicale i sztuki, natomiast w latach sześćdziesiątych zapanowała moda odwrotna i popularne filmy w rodzaju „Nocy Cabiril”, „Nigdy w niedzielę” czy „Grek Zorba” doczekały się kolejno scenicznych adaptacji. Z reguły były one jednak wyraźnie słabsze od filmowego pierwowzoru i dopiero sukces „Promises, promises” dorównał sukcesowi „Garsoniery”, na co wpłynęły z pewnością nowe przeboje wprowadzone przez Bacharacha do partytury.

Tyle tylko, że muzyka Bacharacha, której tak doskonale słucha się z widowni — montaż piosenek z musicalu szedł zresztą w sylwestrowym programie TV, dając przynajmniej przybliżone wyobrażenie o całości — jest zarazem piekielnie trudna. Pobrzmiewa w niej młodzieżowy beat, dźwięczą biblijne zaśpiewy amerykańskich Murzynów, rytm jest pulsujący, niespokojny i szumny, co stawia przed wykonawcami wręcz karkołomne zadania.

Przypadek zrzucił, iż mniej więcej przed rokiem odwiedziłem Gdynię i byłem świadkiem,

jak RYSZARD DAMBOSZ — kierownik orkiestry symfonicznej teatru — pospiesznie przejrzał muzykę opero co nadesłane materiały, wpadł w sup... frustrację.

„W orkiestrze kilkanaście osób, sami multi-instrumentaliści, chórkę w jakiejś obłąkanej skali, kto to zaśpiewa, kto wykona, ależ skąd, zupełnie niemożliwe” — denerwował się dyrygent, pamiętając, iż na Broadwayu każdorazowo dobiera się zespół do sztuki, kompletując go spośród setek stojących do dyspozycji wykonawców, natomiast u nas trzeba obsadzić rzecz tymi, którzy są na etacie w teatrze. I miał swoją rację, jednak Baduszkowa pocieszała go pogodnie, że owszem, jest możliwe, tylko trzeba troszeczkę popracować, a wszystko uda się znakomicie...

No więc popracowali i — jak slyszalem później — było to blisko pół roku prawdziwej harówki, z pisaniem nowej partytury na nieco większy skład orkiestry, oraz nie kończącymi się próbami o morderczej intensywności.

Oplaciła się jednak ta hazardowa przygoda z Bacharachem, bo sukces spektaklu przeszedł wszelkie oczekiwania, zaś orkiestra i chórek, umieszczony przemyślnie na balkonnie, a więc za plecami widzów — brzmiał doprawdy znakomicie. Nie zawiódł nikt z zespołu, doskonałym doktorem Dreyfussem — ciepłym i zabawnym równocześnie — był JÓZEF KORZENIOWSKI, prawdziwie odkrycie stanowiła natomiast utalentowana adeptka „Studia” IRENA PAJAK w roli Frau Kubelik (w filmie windziarki, granej przez niezapomnianą Shirley Mc Laine, w wersji teatralnej — kelnerki z zakładu więz. stółki). Ta dziewczyna po prostu jest, jak jest się sobą, nawet drobne nieporadności aktorskie dają się naturalnie, a jednocześnie wybornie śpiewa, bezbłędnie czując specyficzny styl muzyki Bacharacha.

Zresztą nie będę przecieł recenzował tego odległego przedstawienia, ważniejsza bowiem zdaje mi się prawda inna, najprostsza. Ta miłostka, że chociaż wszyscy — widzowie i aktorzy — mamy prawo tęsknić do pięknych, nowoczesnych sal i scen, nie one decydują o obliczu teatru. Decydują upór, ambicja i odrobina artystycznego niepokoju, które pozwalają robić dobry teatr w najpodlejszych nawet warunkach. Przyjemnie się z nich wyrwać, to pewne, a jednak bywałom i przyjaściom gdynińskiego Teatru Muzycznego, tej starej, rozpadającej się budy przy ul. Bema będzie z pewnością odrobiną żal...

JERZY PANASEWICZ

Adeptka „Studia” Irena Pajak (Frau) i Jacek Labuda (Chuck) w „Promises, promises”.
Foto — T. Link

J eżeli będziecie w Gdyni, chociażby w czasie letniego urlopu, wejdźcie na nadmorskie wzgórza z pobliszą portu; pomiędzy nimi zobaczycie dobiegającą końca budowę teatralnego gmachu, który stanie się jedną z najpiękniejszych scen muzycznych w Polsce. Nieco mniejszy niż teatry operowe Warszawy i Łodzi, przewyższy je nowoczesnością rozwiązań, wśród których dumą konstruktorów są dwie obrotowe sceny, mogące w razie potrzeby kręcić się w przeciwnych kierunkach, co da wraczenie zwiokrotnionego ruchu.

Budowa — jak to najczęściej przy podobnych nietypowych inwestycjach bywa — przebiega co prawda z małym poślizgiem, jednak wssy-